

Stefan Symotiuk

Ekologizm wymaga nowej formuły

Экологизм требует новой формулы

Widmo „zagłady przyrody” krążyło po świecie. Po słynnej podwyżce cen ropy przez kraje islamu w latach sześćdziesiątych powstała panika i obsesja już nie tylko zagłady gatunków biologicznych, zniszczenia lasów i wszystkiego co zielone, ale też wyczerpania się węgla, ropy, gazu i wszelkiej innej energii, zatrucia atmosfery gazami, które zasłonią Słońce, a dopuszczają do Ziemi promieniowanie ultrafioletowe, nasycą powietrze i ziemię truciznami, które wyniszczą wszystkie zwierzęta i ludzi, pograżając ich wprzód we wszelkie możliwe schorzenia. Wtedy to Klub Rzymski ogłaszał swoje raporty obliczające, w którym to z najbliższych lat zabraknie ropy, wtedy filozofowie w rodzaju Skolimowskiego ogłaszali prorockie księgi zagłady i zbawienia przez całkowitą zmianę filozofii życia i przyjęcia „równoważonego rozwoju” cywilizacyjnego. Powstał rój myślicieli katastroficznych, których Rosjanie zwykli nazywać „mrakobiesami”, nawiązując do tytułu i sensu powieści Dostojewskiego Biesy.

Wszystkie te prognozy okazały się rojeniami, Klub Rzymski przestał ogłaszać swoje raporty, okazało się, że dna oceanów zasłane są najrzadszymi metalami, tzw. kompozyty mają zalety większe od tradycyjnych metali, a już tworzywo zwane „grafitem” wyznacza nowe szlaki cywilizacji trwałych przedmiotów, prace nad „silnikiem wodorowym” otwierają przed ludzkością nieskończone źródło energii, jako że wodór jest najliczniejszym pierwiastkiem w przyrodzie, ludzki wiek życia stale się przedłuża, „zielona rewolucja” w rolnictwie stale robi postępy. Zostało jeszcze z dawnych strachów „globalne ocieplenie”, które błąka się jeszcze po mediach, ale niezbyt strasząc publiczność.

Na dzień dzisiejszy modniejszym katastrofizmem jest „proroctwo Majów”: wedle ich kalendarza (a byli to ludzie żyjący w epoce „kamienia łupanego”) w roku 2012 nastąpi koniec świata.

Czy przyroda nie zasługuje więc już na bycie obiektem zainteresowań filozofii? Tego nie twierdzą – wprost przeciwnie – zasługuje ona w końcu na „erę optymizmu”.

Gdy jeszcze w wieku oświecenia przyrodę widziano jako świat nieorganiczny i organiczny rządzone harmonijnymi prawami tyleż ontycznymi co etycznymi – „naśladowanie” Natury było idealnym zaleceniem na trapiące społeczności kłopoty. Potem katastrofiści „ekologiczni” widzieli ją również jako „matkę człowieka”, tyle że umierającą. Dziś wypada spojrzeć na istniejący świat istot

żywych jako punkt wyjścia, kapitał dany ludzkości do stworzenia świata bardziej pięknego i doskonałego niż to, co „życie” w swojej samodzielnej, ewolucyjnej, mutacyjnej pracy samo zdołało stworzyć. Ono dotąd rozwijało się wedle zasady „tak krawiec kraje jak mu materii staje”: musiało stale „czołgać się niewolniczo” wobec środowiska fizykalno-klimatycznego, dostosowując się doń, ostro karane śmiercią za każdą zbytnią fantazję i nowatorstwo. Wygrywało to, co „średnie”, „rozsądne”, banalne.

Tylko artyści dotąd spostrzegali te możliwości istot żywych, które fizykalna przyroda tępiła jak mogła, a to skąpiąc istotom żywym surowców, a to niszcząc je klimatem, suszami itp. Słynny francuski „malarz naiwny” celnik Rousseau dał piękne wizje przyrody żywej o baśniowych kształtach, Gauguin ukazywał zwierzęta o niezwykłych kształtach i barwach. Aktualnie zachwyty wzbudził film amerykański *Avatar*, pokazujący planetę o roślinach i zwierzętach tak baśniowo pięknych, że miałyby się ochotę porzucić rachityczne krzaki i lasy ziemskie i przenieść się na stałe do świata tak bujnego życia i fantastycznego środowiska.

Środki po temu zaczynamy opanowywać – to inżynieria genetyczna, ale też nowe możliwości tworzenia nawozów sztucznych, wpływania na klimat itp. Możemy uczynić ziemię wielką oranżerią, pełną bujnego życia, drzew, kwiatów, ptaków itp. Zarazem możemy i nasze organizmy ulepszyć, zmienić, rozwinąć do form, na które nie było s t a ć ubożuchnego świata pierwotnego, w którym zaistniała „ewolucja”. To jest szansa dla Ziemi i człowieka, szansa nowej „odyssey”, wielkiej „pierestrojki” historycznej, przygody z „autokreacją”, jaką daje człowiekowi do ręki nauka. Jest całkowitym złudzeniem twierdzenie, że jakiś „zrównoważony rozwój” powstrzyma człowieka przed tym nowym światem życia, że będziemy „filantropijnie” chronić karłowate rośliny, szybko umierające organizmy własne, że poddamy się trapiącym te organizmy chorobom, patrząc na cierpienia osób nam bliskich i własne... To konserwatyzm, minimalizm, samoograniczanie się a nawet m a s o c h i z m tak prognozować przyszłość człowieka na ziemi. To program „czołgania się” przed światem, zamiast stania się w sposób pełny i konsekwentny gatunkiem *homo creator*, również w odniesieniu do przyrody. Również realizacją nakazu (jeśli dla kogoś ma to znaczenie): „Czyńcie sobie ziemię poddaną”.

Właściwie nie jest ta filozofia „kreacji nowej przyrody” kwestią „wyboru” ludzkiego. Jest to raczej kwestia ludzkiego *to be or not to be*, dylemat Hamleta. Rozwijamy się w świecie podobnym do drabiny, w której górnych szczeblach przybywa, a w dolnych szczeblach murseją i odpadają. Możemy iść tylko przed siebie. Stanąc w miejscu a tym bardziej cofnąć się – nie sposób. Dziś konserwatyzm jest większą u t o p i ą, niż dawne wizje „nowego wspaniałego świata”. Cofnięcie się w przeszłość lub zatrzymanie się tu, gdzie jesteśmy, jest większym koszmarem, niż możliwe „rewolucje”. Okazało się za naszych czasów, że możliwe są „pokojowe rewolucje” i dawna aura zgrozy, jaka je otaczała, wywietrzała zupełnie. Kryzys dziś polega raczej na „umiarkowaniu”, strachliwości elit,

niedoinwestowaniu nauki, braku geniuszy na miarę Darwina, Einsteina, Galena czy Hipokratesa. Na tym, że absurdalne religie zawracają nadal w głowach miliardom ludzi, zwłaszcza w III świecie. To są prawdziwe problemy. Cywilizacje są ciągle zbyt marnotrawne, marnują dobra użytkowe a jeszcze bardziej marnują talenty i zdolności twórcze jednostek. Zamiast „ekologizmu” i „zrównoważonego rozwoju” potrzebne są wielkie reformy, przewroty kulturowe (np. w zakresie relacji „religia – nauka”), „nowy romantyzm”, „nowy protestantyzm”, nowy futurizm i futurologia. Przyszłość jest ciekawsza od wszystkiego, co pokazała dotąd przeszłość. Dlatego za przesłankę optymizmu pozwałam sobie uznawać człowieka jako gatunek *homo inquietus*, gatunek kolumbiczny, wrywający się od znanego ku nieznanemu, eksperymentujący, mający antyczną cnotę *arete* – dzielności. Natomiast pod jednym względem gotów byłbym zaakceptować arystotelesowskiego „człowieka złotego środka”: człowiek podległ rozpadowi na „właściciela” i „najmitę”. Dwie strony jego natury: posiadawcza i operatywna oderwały się od siebie. Świat globalny, w którym 6000 superbogaczy posiada 60% majątku ludzkości jest aberracją, halucynacją historyczną. Jednostki nie mają wpływu na przyrodę, na swoje życie, na swoje otoczenie. Tego się utrzymać nie da. „Złotym środkiem” byłoby podtrzymanie arystotelesowskiego wzoru ludzi „stanu średniego” umiejętnie łączących status „posiadaczy” ze statusem „pracowników”.

Każda jednostka musi być realnie współposiadaczem świata i zarazem jego współtwórcą – nowatorem. Opowiadam się więc za modelem społeczeństwa pasjonarnego i mam nadzieję, że doczekam jego świtu.